1902. Nr. 2.

TYGODNIK muzyczny i teatralny



POŚWIĘCONY WYŁĄCZNIE SPRAWOM MUZYKI I TEATRU

wychodzi
we Lwowie
w każdą sobotę
po południu

Lwów, 8. listopada 1902.

Prenumerata wraz z przesyłką wynosi:
W kraju: kwartalnie 3 kor., miesięcznie 1 kor.
Za granicą: kwartal. 4 kor. 50 gr., miesięcz. 1 kor. 50 gr.
Numer pojedynczy 30 gr.

Prenumeratę przyjmują: Administracya „Tygodnika muzycznego i teatralnego“, orcz wszystkie księgarnie i agencye pism.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Lwów, ulica Kopernika l. 36.

Godziny redakcyjne we wtorki i czwartki od 4-tej do 6-tej po południu, w niedziele i święta od 3-ciej do 4-tej po południu.

Teatr w Bayreuth i jego znaczenie.

W nader malowniczej okolicy północnej Bawaryi, na pochyłości lesistego wzgórza, w pobliżu niewielkiego miasta, wznosi się obszerna, dość dziwacznych i wcale niepięknych kształtów budowla, otoczona skromnym ogrodem, po za którym rozciągają się pola, łąki i lasy, ograniczone na krańcach widnokręgu siniejącemi w oddali pasmami gór.

Jest to słynny teatr wagnerowski w Bayreuth, a raczej pod Bayreuth, gdyż — jak wyżej wspomniano — stoi on po za miastem, w czysto wiejskiem otoczeniu. Już samo to ustronne jego położenie czyni go bardzo szczególnem zjawiskiem w naszych czasach, nacechowanych taką ogromną przewagą życia wielkomiejskiego, skupiającego w swym obrębie wszelkie wybitniejsze objawy kultury materyalnej i duchowej. Jeszcze większą osobliwością jest pociągający urok, wywierany przez niego właśnie na najbardziej wyrafinowanych i przerafinowanych wychowańców współczesnej naszej kultury.

Przedstawienia bayreuckie, powtarzane w jednorocznych, niekiedy kilkoletnich, odstępach czasu, w ciągu dwóch miesięcy lata: lipca i sierpnia, ściągają do ustronnej mieściny bawarskiej różnobarwny i różnojęzyczny tłum, złożony z przedstawicieli całego prawie ucywilizowanego świata. W hotelach wre ruch ożywiony, ulicami przesuwają się liczne postacie modnych elegantów i elegantek, dobrze urodzonych arystokratów i dobrze ozłoconych plutokratów. Nie brak też przedstawicieli świata umysłowego i artystycznego: twarze myślące, nerwowe, pełne wyrafinowania, wymęczone nadmiarem myśli, wrażeń i uczuć, przewijają się wciąż przed oczyma bacznego spostrzegacza.

Około godziny 3 po południu, czyli na godzinę przed rozpoczęciem przedstawienia, wzdłuż pięknej alei, wiodącej od miasta do teatru, pojawiają się długim szeregiem powozy, pełne strojnych pań i panów. Istne „corso" elegancyi i wytworności wielkoświatowej. Z boku, na chodnikach, snuje się niemniej długi szereg pieszych wędrowców, zdążających z wyrazem żywego podniecenia na twarzach do świątyni wagnerowskiej sztuki. Po obu zaś stronach ulicy ciągną się szpalery rozciekawionych gapiów, wytrzeszczających chciwie oczy na ten korowód rozentuzyazmowanych, roznerwowanych lub rozbawionych wagnerzystów. Bo też i jest na co patrzeć! Takie skupienie wykwintu, elegancyi i wyrafinowania daje się widzieć tylko w najbardziej renomowanych zbiornikach śmietanki europejskiej.

Otoczenie teatru przed rozpoczęciem przedstawienia, zwłaszcza zaś w długich przerwach międzyaktowych, nie mniej ciekawy przedstawia widok. Publiczność wysypuje się tłumnie z licznych drzwi budynku teatralnego, zapełnia otaczające go obszerne place, lub rozprasza się po ulicach ogrodu, po drogach i ścieżkach, wijących się

wśród pól przyległych. Można wtedy oglądać ciekawy kontrast elegancyi i prostoty, swobodnej natury i sztucznego wynaturzenia. W pośród falujących łanów zbóż, ozłoconych promieniami zachodzącego słońca, w pośród zielonych grządek jarzyn, rozpościerających się z całą swobodą między ulicami ogrodu, przewijają się postacie męskie i niewieście, zdobne wszystkimi cudami i dziwami najnowszej mody. To dopiero zbiór kształtów i barw, wypowiadających wojnę naturze i będących krańcowem jej zaprzeczeniem!

Tak więc publiczność bayreucka składa się przeważnie z ludzi, należących do tak zwanego „dobrego towarzystwa“, zebranych tu z całej Europy, a podobnych do siebie ze strojów, obyczajów, upodobań i min. Różnica ich pochodzenia zaznacza się jedynie odrębnością narodowych typów twarzy i narodowych języków. Ten ostatni wzgląd nie stosuje się oczywiście do nielicznej gromadki obecnych tu naszych współrodaków „z towarzystwa“, rozmawiających między sobą przeważnie polsko-francuskim żargonem salonowym, a tylko nadwiślańskim akcentem swej francuszczyzny wyróżniających się od rodowitych Paryżan.

Jak widzimy tedy, Bayreuth w czasie przedstawień wagnerowskich staje się jednym z owych modnych centrów życia kosmopolitycznego, które w odpowiednich sezonach zapełniają się śmietanką wszecheuropejskiej wytworności...

Czy takie jednak było pierwotne jego przeznaczenie? Czy genialny twórca sceny bayreuckiej takich pragnął mieć widzów i słuchaczów? Bardzo o tem powątpiewać należy.

Zaiste bowiem, nie dla modnych światowców i przerafinowanych wytwornisiów tworzył Wagner swoje dzieła i założył swój teatr, nie dla wystawy modnej elegancyi ustanowił swoje uroczystości sceniczne. Zresztą, nie trzeba nawet zbyt głęboko wnikać w ducha dramatycznej i teatralnej jego reformy, ażeby zrozumieć i uznać ogromną powagę przyświecających jej ideałów artystycznych. Bo Wagner nietylko wykonawcom, lecz i słuchaczom swoich dzieł bardzo wysokie stawiał wymagania. Od jednych i od drugich żądał on zupełnego podporządkowania się sztuce, zapomnienia o sobie i o małostkowych próżnostkach osobistych, wniknięcia w wewnętrzną treść idei i myśli, uplastycznionych w jego utworach. A nie są to chyba warunki, którym zdolni byliby odpowiedzieć eleganci i światowcy, spieszący tłumnie do Bayreuth na wagnerowskie przedstawienia.

Czemże więc pociągają ich owe uroczystości sceniczne, tak sprzeczne z ich naturą istotną i dla odmiennej zupełnie przeznaczone publiczności?

Wyjaśnienie tej zagadki zawiera się w tem jednem jedynem słowie: moda. Bayreuth stał się modnym i stąd w znacznej części wynika dzisiejsze jego powodzenie.

Ale skąd znowu teatr wagnerowski doczekał się tego zaszczytu? Odpowiedź na to niełatwa. Moda bowiem nie zwykła motywować swych upodobań. Jedynym jej motywem: kaprys chwili. Czasem chwyta się ona lada drobnostki i głupstewka, czasem rzeczy poważnej, wzniosłej, a nawet świętej. Wszelako i jej zmienne kaprysy znajdują do pewnego stopnia wyjaśnienie w szczególnych okolicznościach danej chwili. Taką wyjaśniającą okolicznością dla mody bayreuckiej jest niezwykłość i osobliwość teatru wagnerowskiego i uprawianej w nim sztuki. Ten wzgląd szczególnie doniosłe posiada znaczenie dla ludzi współczesnych, którzy, wobec przerażającej pustki duchowej zmateryalizowanego doszczętnie życia, cierpią na chorobliwy głód wrażeń i chciwie pochłaniają wszelkie osobliwe i nadzwyczajne pokarmy, wzbudzające nadzieję chwilowego choćby nasycenia. Stąd owe dekadentyzmy, impresyonizmy, symbolizmy itp. izmy, grasujące, niby choroba, w całej kulturalnej Europie współczesnej. A i „wagneryanizm" w bardzo znacznej mierze do ich liczby należy.

Sztuka wagnerowska, ta sztuka tak nowa, niezwykła, różna od tego wszystkiego, co dotąd istniało, wraz ze swą świątynią w Bayreuth, jedyną w swoim rodzaju instytucyą na świecie — obiecuje tyle nadzwyczajnych, a silnych wrażeń, pociąga takim urokiem jakiegoś egzotyzmu duchowego, iż każdy prawowity modernista z obowiązku stać się musi jej zwolennikiem. Mnóstwo też wielbicieli jej tego rodzaju napełnia zawsze teatr bayreucki. Nie mówię wprawdzie przez to, że publiczność bayreucka z nich się wyłącznie składa, ale w każdym razie stanowią oni tak pokaźną jej ilość, iż nadają jej pewien ton zasadniczy, który zaznaczyłem powyżej, jako znamienną jej cechę.

Owóż ów ton, o ile jest wyrazem nastroju, panującego przeważnie w tak zwanem „dobrem towarzystwie" obecnej epoki, wydaje mi się bardzo niezgodnym, a nawet wprost sprzecznym z istotą wagnerowskiej sztuki, szczególnie w tem, jak się ona objawia w teatrze bayreuckim, mającym być przecież realizacyą artystycznych ideałów mistrza.

Zobaczmyż, na czem głównie ta sprzeczność polega?

(C. d. n.). Walery Gostomski.

KROWIĘTA.

Studjum teatralne.

Najstraszniejsze w tej mierze są t. zw. „stare aktorki". Z minami zdetronizowanych królowych wydają rozkazy „krowiętom", wpatrzonym, jak w tęczę, w te twarze, pełne bruzd i złośliwego jadu. Dla nich żadna „krowięta" nie ma nazwiska. Jest to po prostu „panna".

Czy serce tych kobiet jest tak skamieniałe, jak słoik od Créme Simon'a, z którego czerpią maść, pokrywającą ich zniszczone twarze?

Według najnowszych badań, damy te wcale „serc“ nie mają. Doza jednak złośliwości przewyższa w nich wszystkie ludzkie uczucia. Ponieważ atoli „stare aktorki“ bywają zwykle bardzo... dystyngowane, złośliwość ta ma cechy dobrego wychowania. Niemniej przeto ukłuć, a nawet zranić potrafią. W obec ludzi wszakże, dla otarcia krwi, płynącej z tej rany, podadzą swoją batystową chusteczkę. I to coś znaczy.

Tymczasem dziewczyna walczy, pracuje. Popychana ciągle na dno, tonie czasem, będąc już przy brzegu. Napróżno wyciąga ręce, chce pomocy, opieki, dobrego słowa...

Z chwilą, gdy gaz „w kanałach“ gaśnie, a żelazna kurtyna z brzękiem zasuwa się na scenę, aktorzy zdejmują sceniczną garderobę, a razem z nią i szlachetniejsze uczucia. I natychmiast zaczyna się rozmowa.

— Krowięta się zasypała!

— Wygląda po męsku, jak krzak! Czysta przystawka.

— O! jeszcze ją widać. Patrzcie, jak idzie! Trzeba jej jutro posłać Marion Delorme — niby od dyrekcyi. Będzie się uczyć, a potem zrobimy z nią próbę. Będzie szopa!

A biedna dziewczyna przechodzi, jak przez rózgi, w opiętym aksamitnym stroju, okrywającym niedostatecznie jej wątłe, wychudzone kształty. Słyszy za sobą śmiech mężczyzn, widzi szydercze uśmiechy kobiet, i oczy jej, pełne jeszcze gazowego blasku, zachodzą łzami, które po ufarbowanej twarzy spływają wielkiemi, drżącemi kroplami...

„Krowięta“ pobiera gaży od dziesięciu do trzydziestu guldenów lub rubli, stosownie do miejscowości, w której przebywa. Za to winna się ubrać na scenę. To znaczy, winna mieć kilka tualet balowych, kostjum markizy, subretki, wieśniaczki, parę eleganckich tualet wizytowych z odpowiedniemi akcesoryami. Również musi posiadać kostyum hiszpański, włoski, grecki, egipski, nawet staro-żydowski. Dyrekcye bowiem pod względem strojów wymagają bardzo wiele. Płacą też odpowiednio. Dziesięć lub piętnaście guldenów! Toć to wspaniała gaża.

Dziewczyna więc nie je, nie śpi, szyje sama drżącemi ze zmęczenia rękami, i te palce, które nigdy może igły nie trzymały, teraz, wśród nocy, kłują zniszczony welwet, naszywając go błyszczącemi blaszkami. Jeśli nazajutrz rano zjawi się na próbie pobladła, zmęczona, z wyrazem znużenia na twarzy, koledzy jej z dwuznacznym uśmiechem pytają:

— Czy dobrze się bawiła?

Ona uśmiecha się również, ściskając nerwowo swe pokłute od igły ręce.

Jakaś fałszywa ambicya nie pozwala tej kobiecie powiedzieć całej prawdy. Skrywa swą nędzę, jakby ranę, sądząc, że nędza to jedna śmieszność więcej. I po części ma — słuszność.

A teraz, czy w podobnych warunkach może się wyrabiać talent, może wzrastać chęć do pracy?

Trzeba zaiste wielkiej siły woli, aby przejść przez taki ogień czyścowy, nie straciwszy nic z pierwotnego zapału. Trzeba niepospolitej

znajomości swej własnej wartości, aby nie zwątpić i nie upaść pod ciosami szyderstwa i nędzy. Trzeba powiedzieć sobie: „unguibus et rostra“ — to moja dewiza i z podniesionem czołem iść naprzód do raz zamierzonego celu.

Z „krowiąt“ wyrastają czasem artystki niepospolite, lub pozostają do końca swej karyery... „krowiętami“. Taka jednak artystka, która w młodości swej przeszła twardą szkołę, jest zwykle smutna i zgnębiona, nawet wśród najpiękniejszego powodzenia.

(D. n.) *Gabryela Zapolska-Janowska.*

LISTY.

Z KRAKOWA piszą nam: Wystawiona z końcem ubiegłego tygodnia na naszej scenie trzyaktowa „komedya“ Zygmunta Przybylskiego pt. „Państwo młodzi“ jest komedyą jedynie chyba dla tego, że się tak podobało autorowi, widocznie w przystępie dobrego humoru, utwór swój nazwać, w rzeczywistości bowiem jest to najpospolitsza sobie pod słońcem farsa, jedna z tych wielu, do których przyzwyczaili już nas najrozmaitsi nadsekwańscy, nadsprewiańscy i naddunajscy farsiści, a które cierpią stale na brak jednej rzeczy, mianowicie -- logiki, zdrowego sensu. Treść „komedyi“ Przybylskiego da się w kilku opowiedzieć słowach. Są to przygody młodego żonkosia, którego teściowie systematycznie z żoną rozdzielają Znudzony nareszcie tem przymusowem słomianem wdowieństwem, wykrada żonę, kryje się z nią w jakiejś podmiejskiej willi, zostaje jednak wyśledzony, pochwycony i o mal nie uznany za obłąkanego.. Ponieważ atoli takie zakończenie byłoby za dramatyczne, więc się wszystko kończy ogólnem rozrzewnieniem i powszechną zgodą. Sądząc po licznych oklaskach, „komedya“ Przybylskiego na ogół dość się podobała, do czego przyczyniła się także i bardzo dobra gra naszych aktorów.

Celem uczczenia trzydziestej rocznicy zgonu twórcy „Halki“, urządziło nasze Towarzystwo muzyczne w ubiegły piątek uroczysty wieczór, poświęcony pamięci genialnego kompozytora. Głównym punktem programu były „Dziady“, które jednak, choć czuć było w ich wykonaniu staranne opracowanie, przeszły, z powodu braku w niektórych miejscach rytmiki, a zwłaszcza z powodu monotonnej interpretacyi, bez głębszego wrażenia. Partye solowe wykonali: pani Camilowa (sopran), oraz pp. Mossoczy (baryton) i J. S. (tenor). Chór był wprawdzie nie bardzo liczny, ale brzmienie miał niezłe i, z wyjątkiem kilku niejasnych wypadków, szedł sprawnie za ręką dyrektora Barabasza.

W części deklamacyjnej brali udział artyści teatru miejskiego, panie: Arkawinówna i Mrozowska, oraz p. Mielewski.

Na zakończenie donoszę wam, że zasłużony kierownik naszej nawy teatralnej, p. Józef Kotarbiński, przerobił na scenę „Nieboską komedyę“ Zygmunta Krasińskiego. Premierę oznaczono na 22. b. m. przedtem zaś, bo w tę sobotę, 8. bm., poznamy jeszcze najnowszy

utwór dramatyczny głośnego poety belgijskiego, Maurycego Maeterlincka, zatytułowany „Monna Vanna“. Główną rolę w tej ostatniej odtworzy p. Wysocka. *G. N.*

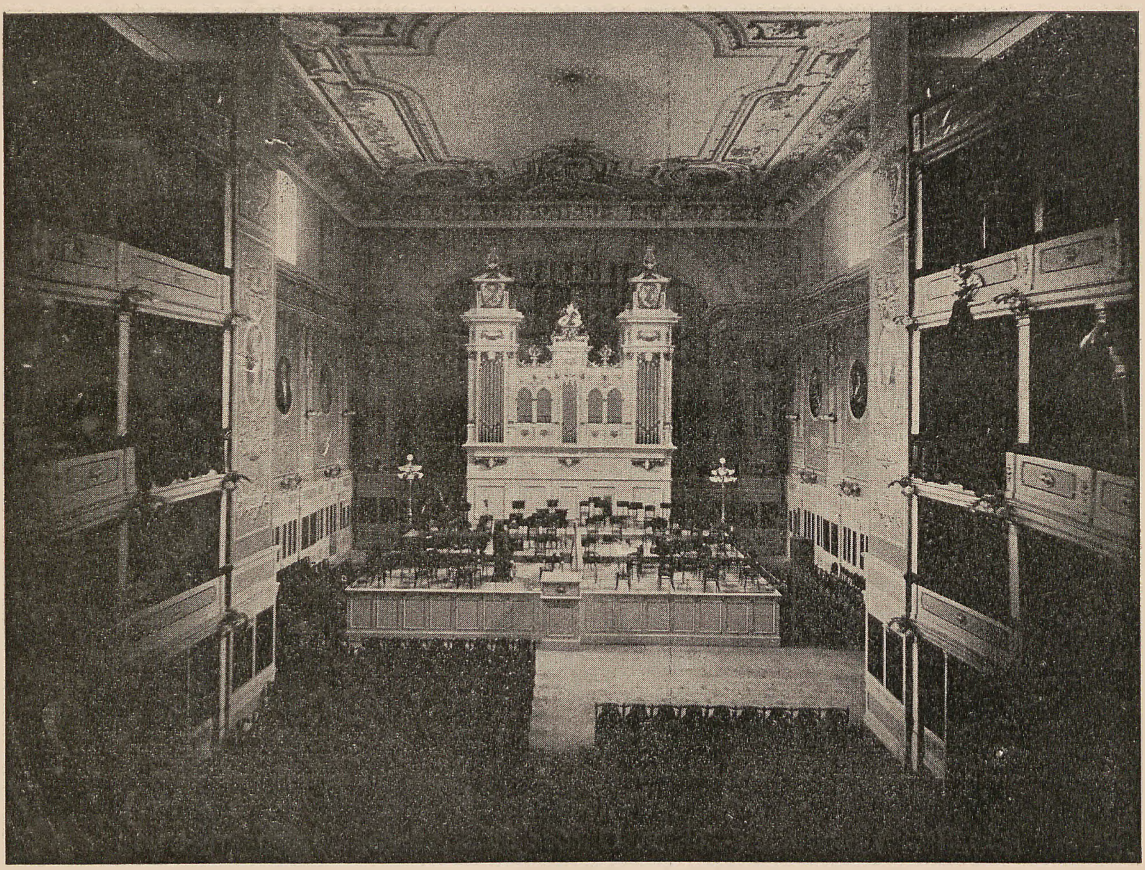
Z TURYNU piszą nam: Teatr „Vittorio Emanuele“ wystawił dnia 29. października graną po raz pierwszy przed dwoma coś-laty w Warszawie, wielką, cztero-aktową operę nestora kompozytorów polskich, Adama Minhejmera, zatytułowaną „Mazepa“. Jak wiadomo, osnuta jest ona na tle tragedyi Juliusza Słowackiego, a libretto do niej pochodzi z pod pióra Maksa Radziszewskiego, warszawianina. Partycya „Mazepy“, poświęcona pamięci twórcy „Traviaty“, Józefa Verdiego, napisana została podobno przed dwudziestu kilku laty. Poznać to zaraz już po samym jej układzie, a jeszcze bardziej po zbyt widocznym wpływie starszych wzorów włoskich, które należą już dzisiaj do przeszłości, co też krytyka tutejsza wytknęła delikatnie kompozytorowi. Ale instrumentacya „Mazepy“ zdradza wprawną rękę wytrawnego muzyka; nie brak jej melodyjności i mistrzostwa w prowadzeniu wielkich mas chóralnych. Wykonanie opery w teatrze „Vittorio Emanuele“ było bardzo staranne. Mazepę spiewał bardzo dobrze tenor Manucci i wyglądał przy tem doskonale; Amelię śpiewała równie dobrze pani Giachetti; Zbigniewa, syna wojewody, p. Maggi. Inne partje wypadły słabiej. Polonez i mazur w pierwszym i drugim akcie wykonane były bez zarzutu przez „podalpejskich“ tancerzy. Sędziwy kompozytor sam kierował próbami, ale, zaziębiwszy się, nie mógł być na pierwszem przedstawieniu swojej opery, którą tak publiczność, jak i krytyka, przyjęły niezwykle przychylnie. Dwa największe dzienniki Turynu: „La Stampa“ i „Gazzetta del Popolo“ zamieściły bardzo życzliwe recenzye, życząc kompozytorowi, aby opera jego była jak najczęściej powtarzana. *W. S.*

Z ESTRADY I ZE SCENY.

Z SALI KONCERTOWEJ.

FILHARMONIA. Ostatnich dni parę w naszej Filharmonii przyniosło nam kilka nowości muzycznych i kilka interesujących indywidualności artystycznych, takich, jak: Józef Śliwiński, Janina Korolewicz-Wayda, Mikołaj Rothmühl, Wirginia Guerini, oraz pianistka amerykańska, Fanny Bloomfield-Zeisler. Oprócz Śliwińskiego, którego grę Lwów już niejednokrotnie słyszał i oklaskiwał, reszta wymienionych wyżej artystów wystąpiła u nas po raz pierwszy. Śpiewak nadwornej opery berlińskiej, pan Rothmühl, odniósł tylko tak zwany „succés d'estime“. Nierównie większem powodzeniem cieszyła się liryczno-koloraturowa śpiewaczka pani Korolewicz-Wayda, zaś wielki, prawdziwy sukces odniosła mezzo-sopranistka pani Guerini i pianistka pani Bloomfield-Zeisler. Pani Wirginia Guerini, którą w zeszłym roku mieliśmy sposobność usłyszeć w teatrze miejskim, z okazyi wykonania „Requiem“ Verdiego, ujęła sobie i tym razem serca słuchaczów nietylko pięknym i doskonale wyszkolonym głosem, ale i pełnem ekspressji i gustu odśpiewaniem arji, pieśni i piosenek Saint-Saensa, Verdiego, Glucka i Tostiego.

W pianistce pani Bloomfield-Zeisler poznała nasza publiczność pianistkę niepowszedniej miary, na wskróś muzykalną, posiadającą oprócz bardzo wyrobionej i równej techniki palcowej także i wiele poetycznego wdzięku w traktowaniu kantyleny, jak to wykazała w koncercie Griega i dodanej nad program „Prządce“ Mendelssohna. Nie obyło się i bez „cudownych dzieci“. Pokazano nam ich do tej pory już kilka. Był i skrzypek Natrowski i Emcia Wolfsthalówna i mały Miecio Horszowski. Największy jednak sukces odniósł ten ostatni, któremu każdy niewątpliwie przyznać musi prawdziwie muzykalne usposobienie i nad wiek rozwiniętą sprawność techniczną. Czy i jakich zrobi z nich artystów życie,

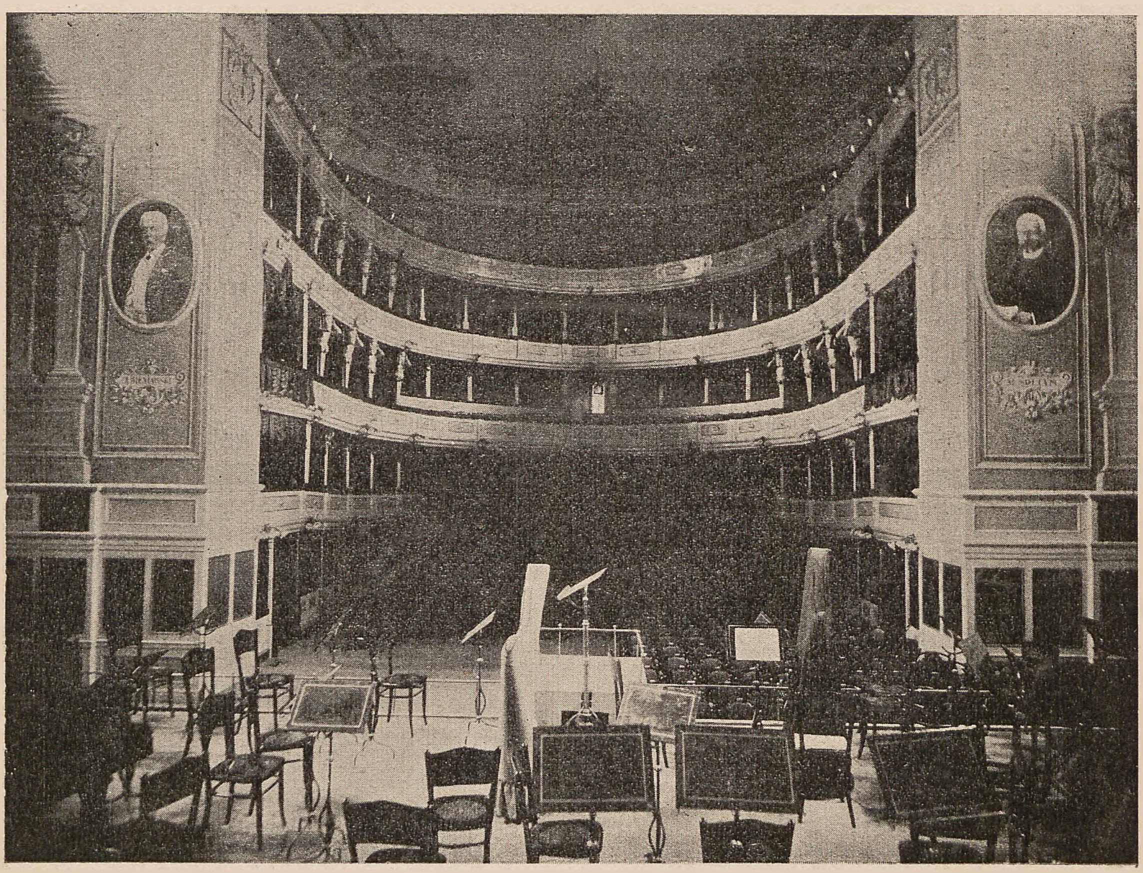


Wnętrze Filharmonii. — Miejsce dla publiczności.

ten największy nauczyciel, przyszłość pokaże. Z nowych, a przynajmniej we Lwowie nieznanych utworów orkiestralnych wykonała orkiestra Filharmonii trochę hałaśliwą uwerturę Smetany do opery „Libusza“, ustęp z Wagnerowskiego „Zmierzchu Bogów“ p. t. „Śmierć Zygfryda“, trochę pretensjonalnego i napuszonego marsza z opery Fibicha „Narzeczona z Messyny“, jakoteż pierwszą symfonię Beethowena. Jak nietrudno było przewidzieć, orkiestra Filharmonii zgrywa się ze sobą coraz bardziej i doskonali zarówno w rytmice, jak i w pełności i szlachetności brzmienia, a to zarówno grup poszczególnych, jak i całego ensemblu. *Jan Gall.*

Z TEATRU.

DRAMAT. Teatr nasz znajduje się obecnie — oby jak najdłużej! — pod znakiem wielkiej, prawdziwej sztuki, a to dzięki najdoskonalszej jej przedstawicielce, dzięki Helenie Modrzejewskiej. Z jej przybyciem jakby nowy duch powiał na naszej scenie, jakby słońce nad nią zajaśniało, tak się tam stało od razu jasno, ciepło, przestronnie. I nie dziw, bo szczera, natchniona sztuka ma zawsze to do siebie, że musi na wszystkiem, czego się tylko dotknie, swoje wycisnąć piętno, wszystko swoim opromienić blaskiem, wszystkiemu swoją nadać barwę.



Wnętrze Filharmonii. — Estrada.

Stało się też, co się stać musiało. Wstąpiwszy na deski naszej sceny, Modrzejewska wniosła na nie razem z sobą wspomnienie owych świetlanych, lecz dawno przebrzmiałych czasów, kiedy to sztuka była jeszcze kapłaństwem, a ci, którzy się jej niepodzielnie oddali, kapłanami, i wszystkich pod swoje wyłączne podbiła panowanie, wszystkich ujarzmiła, we wszystkich szacunek, cześć, uwielbienie obudziła. Patrzyliśmy na nią nieporuszeni, milczący, cisi, z zapartym oddechem, zupełnie tak samo, jak się patrzy na coś, co się całem sercem ukochało, do czego się całą duszą przyglnęło, co jest dla nas i najdroższe i naj-

większe; patrzyliśmy, nie analizując, nie rozbierając, ale marząc cudnie, śniąc rozkosznie o tem, co piękne, wzniosłe, natchnione. Czuliśmy wszyscy, że wielkie dla nas nastało święto, to też bez namysłu, mimo woli, otwarliśmy nasze dusze na przyjęcie blasków, od niego bijących, woni, od niego płynących, i było nam z tem tak błogo, tak nieskończenie błogo, że wszystko w nas grało jednym wielkim, głośnym hymnem — bezbrzeżnego szczęścia, lecz i bezgranicznej wdzięczności. Tak, wdzięczności, bo za tyle pereł szczerego natchnienia, za tyle brylantów skończonego piękna, ile ich rozsypała przed nami Modrzejewska, nie zdawkową się płaci monetą przemijających oklasków, ale za serce daje się serce, za duszę daje się duszę. Dziękowaliśmy więc jej pierwszem, a złożyliśmy na ołtarzu jej natchnień drugą, pewni, że z tej próby ogniowej wyjdzie ono czystsze, piękniejsze, bogatsze. I nie zawiedliśmy się. Dzięki wielkiej artystce przeżyliśmy tyle chwil podniesienia duchowego, tyle chwil najwyższej rozkoszy estetycznej, że samo ich wspomnienie na długo nam wystarczy, kto wie, czy nie na zawsze. *Henryk Cepnik.*

W następnym numerze podamy podobiznę Heleny Modrzejewskiej, oraz obszerną ocenę jej gry. *Redakcya.*

„WALKIRJA".

Repertuar Filharmonji lwowskiej zapowiada na przyszły czwartek wykonanie pierwszego aktu z „Walkirji" Ryszarda Wagnera, przy współudziale pani Ireny Bohuss-Hellerowej w partyi Zyglindy, Aleksandra Bandrowskiego w partyi Zygmunda i Adama Ludwiga w partyi Hundinga. W nadziei, że przysłużymy się tem czytelnikom naszym, podajemy poniżej treść całego tego utworu, stanowiącego „pierwszy dzień" z trylogii „Pierścień Nibelunga", na którą składają się: „Walkirja", „Zygfryd" i „Zmierzch bogów", oprócz prologu „Złoto Renu", odsyłając ciekawszych do pięknego przekładu p. Teodora Mianowskiego, wydanego w bieżącym roku przez „Księgarnię polską" we Lwowie.

Znajdujemy się we wnętrzu mieszkalnej komnaty, którą zalega gruby zmrok wieczorny. Wśród szalejącej poza domem burzy wiosennej, po kilkudziesięciu taktach orkiestry, otwierają się nagle drzwi wchodowe i na pustą dotąd scenę wpada Zygmund. Poszarpane jego odzienie, jakoteż i widoczne fizyczne zmęczenie, wskazują, że się znajduje w ucieczce. Przez chwilę, trzymając rygiel w ręku, rozgląda się badawczo po komnacie, poczem zbliża się do ogniska i rzuca się na rozciągniętą podle niego skórę niedźwiedzią, ze słowami: „Czyjkolwiek ten dom, tu spocząć muszę".

Drzwiami, prowadzącemi do wnętrznych komnat, wchodzi Zyglinda, a spostrzegłszy obcego mężczyznę, przygląda mu się ze zdziwieniem.

On się podnosi, a że pragnienie go pożera, ona podaje mu wodę w bawolim rogu. Zaspokoiwszy pragnienie, Zygmund spogląda na kobietę i wraz przeczucie przyszłej miłości budzi się w orkiestrze. Zapytuje, kto ona? — na co otrzymuje odpowiedź: „Ten dom, ze mną wraz, własnością Hundinga... Chciej wonnym tym miodem, z pól i łąk, pokrzepić siły swe“. Gdy cudzoziemiec wypił, on i ona, nieruchomi, wymieniają długie spojrzenia. Wszystek czar, cała ekstaza przyszłych pocałunków rozlewa się w długiej tęsknocie motywu tej melodyi.

W tej chwili gwałtowny odgłos rogów myśliwskich brzmi zdala i Hunding, pan tych miejsc, zbrojny od stóp do głowy, staje w progu. Zyglinda objaśnia go, jakim sposobem obcy dostał się do jego domu, poczem wszystko troje zasiadają do wieczerzy, podczas której opowiada Zygmund o sobie, swojem pochodzeniu, swoich losach. „Wilkiem się zwał mój ojciec, nas dwoje ujrzało świat: ma bliźniacza siostra i ja. Przedwcześnie, ach! straciłem je: matkę i tę, z którąm wraz ujrzał świat. Dziś wspomnieć mi trudno je! Mężny bo był mój rodzic, a wrogów miał wielką moc. Na łowach raz byłem z ojcem i z bracią. Z pościgu bez tchu gdym wrócił raz w dom, zastałem zgliszczy stos! W płomieniach legł mój rodzinny dom i dąb cienisty strzaskany padł! Wśród zgliszczy tych leżał matki mej trup, w pożarze straciłem mej siostry ślad! Ten los zgotował nam ów Neidingów wraży szczep! Wyklęty rodzic zbiegł ze mną wraz. W głuchej puszczy, wraz z mym rodzicem, przeżyliśmy sporo lat. Nieraz w sieć już wpaść mieliśmy, lecz Wilków szczep dzielnie bronił się. Syn Wilka niesie ci wieść, niejednemu dobrze on znan!... Na szczep nasz zasadzkę raz nastawił Neidingów ród. Z ich strzelców wielu padło ofiarą. W pogoni przez las pędził go zwierz i w pył rozprószył nas wróg. W pościgu tym ojciec mi znikł, jego ślad straciłem, choć długo szukałem, tylko wilczą skórę krył czarny bór; grób mi powiał z niej! — Bo rodzic znikł mi gdzieś! Z boru w dal żal pędził mię, jam tęsknił do mężów, do niewiast! Szukałem ich, gdziem tylko mógł: przyjaznych dusz, niewieścich serc. Zawszem był, ach! tym wyklętym! Zły los gnębił mię! Mej szczerej rady treść innym zdała się złą; gdym rad wskazywał zło, inni dążyli doń! Gdziem przybył, wniosłem niezgody kość, gniew ścigał mnie ze wszech stron; gdym chciał miłości, wzniecałem ból! Więc muszę się zwać „bolesnym“, gdyż boleść w duszy mej tkwi!.. Dziewczęcia płacz raz wzywał mnie. Swą córkę oddać chciał srogi Magen, wbrew niej, człowiekowi bez czci. Nieszczęsnej tej jam pomoc dał i zmogłem wnet natrętów czerń. U nóg mych leżał wróg! Jej bracia padli wśród walki. Napróżno tonęła we łzach, bo śmierć uniosła ich w dal! Z rozpaczną duszą swą wybiegła, płacząc, na wał. Za morderstwo nieszczęsnych braci zemsty błagała i klątw! Wnet druhowie poległych złączyli się, zemsty wrzeszcząc, wbiegli co tchu na wał. Gdziem okiem rzucił, wróg mię otaczał, lecz z wału ona nie zeszła już. Mą tarczą wciąż chroniłem

ją, aż strzaskał mi wraz z włócznią mój wróg. Gdym bezbronny stał, ranny, ją spowiła już śmierć! W oddali wrzał zaciekły bój. Wśród swych braci, legł jej trup! Więc wiesz już niewiasto ty, czemu znikł spokój z mej duszy". *(Przekład Aleksandra Bandrowskiego).*

W czasie tego opowiadania Hunding stał się coraz posępniejszy, Zyglinda bardziej rozmarzona. Wreszcie Hunding się odzywa:

— Jam jest z pokolenia Myśliwców. Aż do świtu mój dach chroni gościa, później będziemy walczyli ze sobą.

Wychodzi z Zyglindą, która wymownie zwraca wzrok na wielki jesion, gdy tymczasem orkiestra, łagodnie, w jakieś niewieście tony spowita, wprowadza bojowy motyw Miecza.

Cudzoziemiec, pozostawszy sam, marzy o obietnicy Wilka. Kiedyż otrzyma Miecz, którym zwycięży wrogie psy i wydrze Fafnerowi fatalny pierścień Nibelunga. Jest zmęczony i smutny, wreszcie usypia. Nadchodzi Zyglinda.

— Cudzoziemcze, nie przyniosłeś tu z sobą nieszczęścia, bo nieszczęście tu było przed tobą. Kto mnie uratuje z niewoli myśliwca, który mnie porwał! Pewnego dnia, na ten dwór przybył dziwny wędrowiec. Jedno z jego oczu było pokryte przepaską, drugie świeciło jak błyskawica. W ten jesion aż po rękojeść wepchnął miecz i powiedział: „Niechaj ten miecz należy do tego, kto go potrafi wyrwać z tego drzewa". Wyrwij miecz, bohaterze, i uratuj mnie od psa Hundinga.

Zygmund patrzy na nią w głębokiej ekstazie i, gdy rozzuchwalony chce ją do piersi przycisnąć, wielkie wrota pod tchnieniem powietrza otwierają się szeroko i ukazuje się boska Wiosna błękitnej Nocy.

— Ha! Któż to? Kto wszedł w ten dom?

— „Samiśmy! Lecz w koło nas, spojrzyj! tam wiosna w blasku lśni! Księżyca blask rozprószył zimowy mrok, w łagodnem świetle wiosna już lśni; na skrzydłach wiatru lekka, wonna, cuda snując, leci w dal. Na bory, niwy śląc swe tchnienie, śmiechem swym weseli świat! W słowika pieniu imię jej słodko brzmi, woń świeżości w przestwór mknie, barwnych kwiatów łan zakwitnął w ciepłem jej tchnieniu, nowe życie w okół wre. Ozdobną zbroją swą zwycięża świat, wichry i lód wątłą zaporą jej. Tak prysły ostatnie odrzewia lodowe, ciepłym podmuchem stopione wnet, i wzbiła się w dal!... Na skrzydłach wiatru leciała doń, miłości czar przynęcił ją. Na dnie serc naszych krył się ten czar, dziś w blasku wiosny się lśni. Kochankę siostrzycę brat z więzów uwalnia, już w gruzy legł dzielący ich wał. Zachwyt szczęścia w ich oku drga, miłości połączył ich czar!" *(Przekład Aleksandra Bandrowskiego).*

I długo, długo, kiedy boski motyw wymiany spojrzeń rozwija się, przerywa, znów rozpoczyna się i utrwala, oni kołyszą się w tęsknocie i wdziękach swego młodego roztkliwienia.

— Widziałam już gdzieś twoją twarz, słyszałam twój głos. Nie! ty się nie zowiesz Rozpacz, ty się nazywasz Zygmund, a twoja siostra

bliźnięca, Zyglinda, to ja! O bracie mój, o mój narzeczony, wyrwij miecz z jesionu i uchodźmy.

Zygmund poskoczył do jesionu i chwyta za rękojeść miecza, tkwiącego w pniu jego.

— „Zygmund me miano, Zygmundem jestem, a świadkiem ten miecz, co dzierzę w mej dłoni. Welse mi przyrzekł, iż w trwogi czas znajdę go sam. Dziś mam go już! Święta miłości, wzmocnij mnie w ciężkiej potrzebie, dodaj mi sił, w sercu mem zapał wzbudź, wiedź na bój i śmierć. Mieczu, zbawco! Tak odtąd cię zwę. Mieczu, zbawco! Swym blaskiem lśnij! Pokaż mi ostrza twojego moc, przybywaj z pomocą mi dziś...“

Wyrywa miecz z pnia i wznosi go dumnie w górę.

— „Jam Zygmund, z rodu Welsung zwan, mój dar ślubny ten dzielny miecz. Zdobyłem nim kobietę cud, z wrogiego domu porwę cię w świat! Zdala stąd ze mną pójdź, tam, gdzie wiosny zieleń śmieje się nam. Obrońcą naszym ten miecz, gdy Zygmund serce oddał ci swe!“ *(Przekład Aleksandra Bandrowskiego.)*

Na tem kończy się akt pierwszy.

Tymczasem Wotan, bóg-winowajca, jest smutny. Wierzy on, że jego synowie będą mogli kiedyś oddać córkom Renu zaginiony klejnot i odkupić jego błąd. Ale Przeznaczenie, potężniejsze, niż on, nie pozwala mu przyjść z pomocą bohaterom-odkupicielom, muszą oni być pozostawieni sami sobie. Zygmund ma zginąć pod ciosami Hundinga.

— Hoiotojo! Hoiotojo! — nawołuje wśród skał Walkirja Brunhilda.

— Moja córko! — rzecze Wotan w przepysznem opowiadaniu, w którem muzyka, nie przestając być melodyjną, staje się samem słowem. — Niestety, ten dzień walki będzie to dzień smutny. Donieś bohaterowi Zygmundowi, że wejdzie dziś wieczorem do komnat Walhalli. Aby mieć synów, z których wyjdzie zbawienie plemienia bogów, błądziłem po ziemi, stałem się Wilkiem, a teraz syn mój, Zygmund, ten, który, mieczem zbrojny, mógłby, oddając Złoto córkom Renu, odkupić błąd, musi zginąć.

Kochanka i kochanek, siostra i brat, Zyglinda i Zygmund, uchodzą przez puszcze.

— Zygmundzie — mówi Brunhilda, ukazując się nagle. — Dzisiaj wstąpisz do komnat Walhalli.

— Czyż ujrzę tam boga Wilka, mego ojca?

— Ujrzysz go. Tam też są bohaterowie i córki Pragnienia, które po walce rozlewają jasne piwo w kubki.

— Czyż mnie powita tam małżonka, Zyglinda, siostra moja?

— Ona jeszcze oddychać będzie powietrzem ziemi.

— Pozdrów odemnie boga Wilka, mego ojca, bohaterów i córki Pragnienia, bo, gdzie jest Zyglinda, tam i Zygmund zostanie.

Wówczas dzika Brunhilda czuje w swem sercu nieznane rozrzewnienie. Chyli się ona po raz pierwszy ku ludzkości, która kiedyś całą ją pochłonie.

— Niech mnie Wotan ukarze — woła — ty nie padniesz od ciosów Myśliwca.

I w istocie, gdy wśród chmur, błyskawic i grzmotów, wszczyna się pojedynek między Zygmundem a Hundingiem, Brunhilda swym srebrnym puklerzem odpycha miecz myśliwca. Ale Wotan nie może pozwolić na wybawienie własnego syna i łamie miecz Zygmunda, który był może zbawieniem bogów.

Po przez chmury, w gwałtownym galopie pędzą Walkirje, a błyskawice żarzą się w chmurach od kopyt ich koni.

Orkiestra zawiadamia o prędkiem zbliżaniu się kogoś. Ukazuje się Brunhilda, niosąc w ramionach Zyglindę, a w prawej ręce odłamy boskiego miecza.

— O siostry moje, ukryjcie ją! A ty, Zyglindo, schowaj w lesie miecz złamany i niechaj Norny ci pomogą urodzić syna, którego Zygmund w łonie twem pomieścił.

Wówczas, po raz pierwszy, rysuje się w orkiestrze motyw Zygfryda, przyszłego bohatera, który może będzie odkupicielem.

Daje się słyszeć głos Wotana, grożącego nieposłusznej Walkirji. Napróżno siostry o łaskę dla niej błagają. On musi ją ukarać za to, że chciała zbawić Zygmunda.

– Byłaś córką mojego pragnienia, ale już nią nie jesteś. Nie będziesz uprzedzała bohaterów o ich blizkiej śmierci. Nie będziesz nalewała bohaterom miodu. Walkirją byłaś, Brunhildo, ale już nią nie jesteś, i sama, leżąc u stóp drzewa, niewolnica snu głębokiego, należeć będziesz do każdego wędrowca, który cię zapragnie.

Motyw Walhalli, stracony na zawsze dla córki boga, rozrzewnia w orkiestrze wygnankę.

Tymczasem gniew Wotana rozpływa się w niewymownej tkliwości. Przyciska on do piersi siostrę swego zmarłego syna. Jego boskie łzy oblewają czoło upadłej bogini i łączą się z uściskami pożegnania.

Tylko bohater, nie znający strachu, zbliży się do uśpionej Brunhildy, bo sen jej będzie otoczony straszliwą zasłoną niezagasłych płomieni. I oto cała głębia sceny zapala się, a w orkiestrze syczy i ślizga się motyw ognia (Loge).

NOTATKI.

NOWA OPERA POLSKA. Znany krytyk muzyczny i kompozytor p. Felicjan Szopski z Krakowa, pracuje nad trzyaktowym „dramatem muzycznym“ p. t.: „Lilie“. Libretto, osnute na tle prześlicznej ballady Adama Mickiewicza, napisał p. Henryk Zbierzchowski, lwowianin, autor wydanego w b. roku zbiorku poezyj „Impresje“, oraz powieści „Przed wschodem słońca“ Nowa ta opera, która ma być próbą stworzenia polskiego dramatu muzycznego, wystawiona zostanie podobno w przyszłym roku na scenie lwowskiej.

„JANEK“, opera Władysława Żeleńskiego wyszła z druku u Eberlego w Wiedniu w układzie fortepianowym, z tekstem polskim i niemieckim dr. L. Germana. Okładka tytułowa, pędzla Wł. Tetmajera, przedstawia Janka i Bronkę na hali, w chwili, gdy zdala nadchodzi Marek ze skrzypcami.

MARCELINA SEMBRICH-KOCHAŃSKA odbywa *„turnée“* artystyczne po Stanach Zjednoczonych w Ameryce. Dnia 28. października śpiewała w Cleveland, 29. w Chicago, 1. listopada w Bostonie, 4. w Nashwille, 7. w Nowym Jorku, 13. śpiewać ma w Rochester, a 20. w Waszyngtonie. W maju 1903 r. usłyszymy znakomitą śpiewaczkę we Lwowie, która przybędzie tu celem wzięcia udziału w jednym z koncertów Filharmonii.

ADELAJDA BOLSKA śpiewała w piątek w Operze Cesarskiej w Petersburgu, jako Małgorzata w „Fauście“.

GEMMA BELINCIONI, znakomita śpiewaczka włoska, bawi na gościnnych występach w Warszawie. Pierwszy jej występ odbył się 3. bm w „Traviacie“, na następne zaś wybrała sobie: „Carmen“ (10 bm.), „Faust“, (17 bm.), „Pajace“ i Cavaleria rusticana“ (24 bm.) Znakomitą tę śpiewaczkę usłyszymy na jednym z koncertów w naszej Filharmonii.

NOWE DRAMATY. Gabryel d' Annunzio pracuje nad wykończeniem nowego dramatu pt. „Sigismonda Malatesta“. Ma on stanowić dalszy ciąg ostatniego jego utworu dramatycznego „Francesca da Rimini“. — Gerhart Hauptmann napisał, po dłuższem milczeniu, nowy czteroaktowy dramat. Nosi on tytuł „Der arme Heinrich“ i zostanie z początkiem grudnia br. wystawiony równocześnie na scenie „Deutsches Theater“ w Berlinie i „Burgu“ w Wiedniu.

ALFRED CAPUS, autor licznych sztuk scenicznych, między innemi znanych naszej publiczności „Mężów Leontyny“ i „Pieniądz albo życie“, odniósł nowe walne zwycięstwo. W Paryżu, w teatrze „Renaissance“, przedstawiono z ogromnem powodzeniem najnowszą jego czteroaktową komedyę pt. „La Chatelaine“. Zdaniem krytyki, jest to najlepsza sztuka Capusa.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Henryk Cepnik. — Klisze z zakładu M. Hegedüsa we Lwowie.
Anonse przyjmuje M. Hegedüs, ul. Piekarska 12. — Z Drukarni Udziałowej we Lwowie.